

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

K. LASKOWSKI.

PTASZKI W NIEBIE.

LEGENDA KURPIOWSKA *).

. . . Skoro „Siewna" obsiała,
Skoro przędzę rozdała
Co polami migoce
Na sukmanki sieroce,
Powróciła do siebie
Między świętych w zaniebie
Ale jej coś markotno
Za jesienią, za słotną,
Za tą wioską ubogą,
Za sośniakiem nad drogą —
Niech uchyli kto wrótnie,
To wnet pyta się smutnie,
Patrząc oczy mokremi:

— „Co tam słychać na ziemi?"
Próżno grają anieli,
Święty Józef weseli;
Próżno Jezus dla Matki
Znosi zioła i kwiatki,
Ciągiem smutna Królewna,
Chłopska Matuś, ta „Siewna"!
Radzą Święci na głowę,
Jak pocieszyć Królowę . . .
Radzi święty Wawrzyniec
Z białych lelii dać wieniec,
Złotą lampkę, niech płonie
Na Najświętszem, na łonie —

*) Kurpie, szczep polsko-mazurski, zamieszkały w puszczach leśnych i bagnistych po prawym brzegu Narwi, lud to bardzo dzielny i gorąco nabożny.

Święty Jacek i Iwo,
Nabożeństwo z wotywą —
Inny zasię, Onufry,
Co niebieskie ma kufry,
Nowy strojnik a szatki
Radzi kupić dla Matki.
Radzą, radzą dokoła,
Aż pot perli im czoła;
Nie pomaga ni wieniec,
Jak chciał święty Wawrzyniec,
Ani modły Iwonie,
Ani lampka, co płonie
Nowy strojnik, ni szaty,
Tkane w złoto, szkarłaty, —
Ledwie ocknie się z rana
Wzdycha Matuś kochana,
Ciągiem oczy mokremi
Poglądając ku ziemi.
Aż, tu w jedno zaranie,
Słychać ptaków śpiewanie!
Pod niebieskie osłonki
Lecą czajki, skowronki,
Leci bociek od kraju —
Pełno ptaków, jak w gaju!
Są śmieciuszki, sikory,
Kurki wodne, gęsiory
I wróbelki są szare;
Każdziusieńkich masz parę!
A co które przypadnie,
To pokłoni się ładnie,
Drą się głosy wdzięcznemi,
Jako słychać na ziemi.
Więc najpierwszy skowronek
Wyśpiewuje kiej dzwonek,
Co odsapnie, powiada:
„Jako w polu zielono
I kopanie skończono"!
Drugi bociek, klekoce:
„Że choć chłodne są noce,
Ale żadna sierota
Nie została u płota"...
Potem czajka, jak czajka,
Znosi jaka gdzie bajka;
Gdzie u kogo zmówiny,
Czy to pogrzeb, czy chrzciny,
Na ten przykład wesele...
Miele dzióbkiem, a miele.
Potem zasię sikorki,
Kurki wodne, gęsiorki,
Potem wróble rodziny
Wyćwierkują nowiny.
A Królowa światłości
Tak się śmieje z radości,
Że aż Świętym dziwota
Skąd Jej taka ochota.
To Pan Jezus tak sprawił,
Żeby Matuś zabawił
Żeby nocki długiemi
Nie tęskniła do ziemi.



Zwołał ptasie drużyny,
Kazał znosić nowiny
I Sam z tego radosny
Trzyma ptaki do wiosny.



MARJA REUTTÓWNA.

Historja małej wiewiórki.

(Dokończenie).

Serduszko Rudki zamarło, taka straszna ciemność dokoła. Wtem to czarne objęło ją w pół i wydobyło z dziupli. Tak ją wziął zręcznie chłopak, że biedne stworzenie nawet bronić się nie mogło. Nie przydały się jej ani ostre jak śpilki pazurki, ani ząbki, któremi piłować umiała gałązki drzew i gryźć orzeszki. Zaledwo główką poruszyć mogła i ślicznemi, czarnemi oczkami oglądała się wokoło, czy też mateczki niema, któraby ją od tego potwora oswobodziła.

Piotrek, trzymając wiewiórkę zawiniętą w czapce, zsunął się na ziemię. Nie bardzo to szczęśliwie poszło, zaczepiły mu się spodnie o jakiś sęk, przedarły się, ale on o tem nie myślał. Szczęśliwy, ze zdobyczą swą w ręku, pognał do szkoły. Toż mu chłopcy będą zazdrościli. Biegł wesoły, a pod drzewem zostały książki i zeszyty.

Udało się wejść do szkoły w chwili, gdy po przerwie uczniowie wracali na trzecią godzinę.

— Nie dojrzy mnie pan nauczyciel, powiedział sobie w myśli, wsuwając się do ławki. Wiewiórkę wsunął w zanadrze.

W tej że chwili posłyszał swoje nazwisko. Nauczyciel zapytywał go dlaczego tak późno przychodzi do szkoły.

— Głowa mnie bardzo bolała, rzekł wstając i nagle wrzasnął z całej siły: „Aj! aj!"

— Co to jest? zawołał zdumiony nauczyciel, dzieci przerażone porwały się z ławek, wszyscy biegli do Piotrusia, który rwał na sobie ubranie.

Wtem, z pod bluzki jego skoczyło coś i wprost hyc na głowę nauczyciela, który pochylił się nad wijącym się z bólu chłopcem.

— Wiewiórka! krzyknęły dzieci, nauczyciel złapał się za głowę, ale już Rudka była na stole i o radości, dojrzała przez otwarte okno dużą lipę. Jeszcze jeden skok i — była wolną!

Wybiegły za nią dzieci, w szkole został tylko Piotruś i nauczyciel. Rudka nietylko, że podrapała pazurkami chłopaka i poszarpała mu bieliznę, ale i ugryzła go do krwi. Nauczyciel obejrzał mu ranę zajodynował ją i odesłał go do domu.

— Karę za łapanie zwierząt, rzekł do płaczącego chłopca, otrzymałeś od wiewiórki, w domu rodzice z tobą się rozmówią z powodu zniszczonego ubrania. A za niedbalstwo, opuszczanie lekcji i kłamstwo, jutro będziesz ukarany. Pójdziemy na wycieczkę wszyscy do lasu, ty zaś zostaniesz w klasie i będziesz odrabiał dzisiejsze lekcje.

— A gdzie twoje książki Piotruś? zawołał Antek, który obok niego siedział.



Piotruś skoczył z przerażenia i co sił pogonił w las szukać ich pod jodłą. A Rudka tymczasem zaszyła się wśród gałęzi, przylgnęła do lipy i czekała aż się wszystko uciszy, by powędrować do lasu. Dzikie zwierzęta umieją z najdalszych stron wracać do swych gniazd, więc i ona drogi nie bała się, przerażał ją tylko ten gwar i ruch jakiego nigdy nie słyszała. Takie dziwne głosy. Wciąż ktoś koło lipy się kręcił, bała się ruszyć by ją nie dojrzano.

Nadeszła w końcu chwila ciszy. Południe, wszyscy na wsi zabrali się do obiadu. Skorzystała z tego wiewióreczka, skoczyła z lipy na dach szkoły, zbiegła lekko na ziemię, potem na gruszę co stała na miedzy i tak kołując, to przesuwając się wśród krzewów jak wąż, to znowu skacząc po drzewach przydrożnych, zmęczona, zziajana, dobrała się do lasu. — Och, jakże tu dobrze! Jakie cudne jodły. Głodna była, ale nie tknęła żadnej szyszki, nie schrupała ani jednego orzeszka po drodze. Biegła przytulić się do matki, czuła, że tylko przy niej bezpieczną będzie.

Dzień się kończył, gdy do dziupli w której pracowała matka z Rudzikiem wpadła Rudka.

— No, nakoniec przychodzisz, zawołał brat, a gdzież są twoje orzechy?

Nie odpowiadając nic bratu, mała wiewióreczka przygarnęła się do matki.

— Och, mamo! szepnęła, co za szczęście, że już jestem z tobą. Nie chcę już nigdy sama skakać po drzewach.

Matka, widząc ją taką przerażoną, drżącą i zmęczoną, już się o nic nie pytała. Przygarnęła swą dziecinę do siebie i jak wtedy, gdy była maleńką w gniazdku, wygładzała delikatnie jej zwichrzone futerko, lizała łebek, sterczące uszka i ciemne oczka. Pieszczoty matki uspokoiły biedną Rudkę. Usnęła cichutko, a nazajutrz o świcie, już pracowała pilnie z bratem i matką. Zbudowano gniazdo jedno i drugie, napełniono kilka kryjówek żołędziami i orzechami i Rudzik sam przyznał, że siostra ani jednej chwili nie zmarnowała, i że pracowała nie mniej od niego.

Opadły liście z drzew, powiał północny, zimny wicher, w gnieździe wiewiórek ciepło było i przytulnie, spokojnie bez obawy przed chłodem i głodem pracowite i zapobiegliwe zwierzątka oczekiwały powrotu jasnej wiosny.

J. Bogusz.

Straszne przygody Antka na falach Bałtyku.

(Ciąg dalszy).

— Niebardzo, odparł Antek, domyślałem się tylko znaczenia niektórych wyrazów, ale w pierwszej chwili nie rozumiałem jak mówili wciąż „chwatka, chwatka“ że to oznacza sieć, a „wylewka“ to ma być łopatka do wylewania wody.

— Zupełnie dobry wyraz, o wiele lepszy od łopatki do wylewania wody, bo krótko i jasno podaje nazwę przedmiotu i określa jego użytek, mówiła Tosia, zapalona przyjaciółka Kaszubów.

— A wiecie — rzekł p. Borski — co najbardziej stwierdza przynależność Kaszubów do Polski i naszą jedność narodową?

Młodzież spojrzała po sobie, nie wiedząc jaką ma dać odpowiedź; wyręczyła ich pani Roińska.

— Dusza kaszubska — rzekła. Ta dusza tak podobna do naszej polskiej, miłująca wspólną Ojczyznę i nie dająca się wynarodowić.

— Tak — dodał p. Borski. Odcięci od Polski Kaszubi, niemczeni przez szkołę pruską, w której nawet pacierz polski był surowo zakazany; odsuwani w miarę możności od Kościoła katolickiego, pozostali wierni swej wierze i Polsce. Uczyły się dzieci w szkole po niemiecku, ale w domach mówiono tylko ojczystym językiem i kto mógł, to się cichaczem uczył pisać i czytać po polsku. To też słusznie mówi o sobie ten dzielny i cichy lud:

Nasz Skład Apostolski: —
Niemasz Kaszub bez Polonji,
A bez Kaszub — Polski.

— Wie tatuś — zawołała Tosia — że Antek chce zostać marynarzem!

Antek zaczerwienił się aż po sam czubek jasnej czupryny. Chciał o swem pragnieniu mówić przedewszystkiem z ojcem i matką, a tu Tośka wyskoczyła z tem jak ów Filip z Konopi.

Pan Borski uśmiechnął się, widząc zmieszanie chłopca i domyślił się o co mu chodzi.

— O tem jeszcze pewno Antek nie mówił z rodzicami — rzekł — a i sam, będąc dopiero kilka dni nad morzem, nie jest w stanie nic pewnego zdecydować. Zawód marynarza ciężki jest bardzo i w wielu razach niebezpieczny.

— Ale dla nas, Polaków — rzekł ośmielony Antek — bardzo pożyteczny i konieczny. Nieprawda-ż wuju?

— Słusznie, zupełnie słusznie — potwierdził wuj. — Bez morza dziś Polska istnieć nie może, musi je mieć. Wolny, potężny kraj nie rozwinie się nigdy należycie, jeśli mu będzie brak dostępu do morza.

— Trzeba mieć Polsce własne morze — dodała pani Roińska — własny port, w którymby miała ześrodkowany

handel własny, to jest miejsce, z którego do innych części świata wysyłane byłyby towary polskie, jak zboże, drzewo, len, węgiel, sól i inne bogactwa naszego kraju i do któregoby również z obcych krajów przywożono te rzeczy, których my w kraju nie mamy.

— A więc Polska musi mieć i swoją marynarkę, czyli flotę — zawołał Antek — ach, mamo, jakżebym był szczęśliwy, gdybyście ty i tatuś pozwolili mi wstąpić do szkoły morskiej.

— O tem — odrzekła matka — będziemy jeszcze mieli czas mówić. Będąc nad morzem zapoznasz się z niem bliżej i sam się zastanowisz, czy naprawdę chciałbyś zostać marynarzem.

— Teraz zaś będąc tu, we wsi kaszubskiej — mówił p. Borski — chciałbym byście zbliżyli się do tego dzielnego ludu, poznali go bliżej i pokochali tych cichych, wytrwałych rybaków. Zbliżenie łatwo wam przyjdzie, bo będziemy mieszkali w domku rybackim. Tośka już sporo ma znajomych.

— O, tak — zawołała dziewczynka. Opowiem wam nawet, jak tu ryby czekały powrotu Polski.

— Co? — zawołał Stef — ryby? jakże to było?

— Słuchajcie-ż, to baśń kaszubska: Żył w Wiśle jesiotr złoty. Po Bożemu żyła ryba, wolno i swobodnie, chce, to się pluska w fali wiślanej, chce, to popłynie do Gdańska, do bursztynowych fal Bałtyku. Rada była cała Polska złotej rybie, ale najbardziej umiłowali ją Kaszubi.

Przyszły lata nieszczęść i niewoli.

Obcy rybak zaczaił się na jesiotra, pojmał go w sieci i poobrywał mu złote skrzela. Zapłakała cała Polska, a lud kaszubski wyszedł wszyściutki nad brzeg Bałtyku i straszliwie lamentował nad tą niedolą.

Ale jesiotr ich uspakajał:

— Nie frasujcie się, przyjdzie — mówił — taka wiosna, że mi złote skrzela odrosną.

— Kiedy, kiedy to się ma stać? — pytali Kaszubi.

— Chodźcie — mówił jesiotr — każdej wiosny nad brzeg Bałtyku i słuchajcie pieśni fal morskich. Gdy uderzając w biegu o piachy nadbrzeżne szeptać poczną:

— Polska, Polska — cud się stanie.

Odtąd przez wiele lat lud kaszubski wybiegał wiosną nad brzegi Bałtyku i nietylko uchem, lecz sercem słuchał.

Aż przyszła wiosna radosna.

Fala... bbulg... co mówi? — pyta Kaszub. „Polska!“

I znów... bbulg... co mówi? — „Polska!“

I jak młotem wali w wybrzeże, aż cudowny jesiotr złotem skrzelem pomknął po fali.

— Polska wróciła nad swoje morze.

— Prześliczna baśń — zawołali wszyscy, a p. Borski zapytał: Jakiż ci ją Kaszub wyśpiewał?

— Nie mnie, tatusiu — odrzekła dziewczynka — tylko polskiemu pisarzowi p. Kwiatkowskiemu Remigjuszowi ktoś to wyśpiewał, a on wydrukował, ja tylko przeczytałam i odtąd tak bardzo chciałam widzieć to morze, które Polskę wzywało.

Nazajutrz całe towarzystwo odbyło wycieczkę do Rzucewa, by tam pokłonić się starym lipom, sadzonym ręką króla Jana Sobieskiego.

Szli wśród pól pięknych, falujących złotem dojrzewającego zboża, bo kraj tam bogaty, ziemia tłusta, czarna. Mijali obszerne pola buraczane i oddychali słodkim zapachem kwitnącej koniczyny. A oczy ich zwracały się wciąż w stronę, gdzie z poza drzew srebrzyły się fale Bałtyku.

Po drodze zabiegł im drogę strumyk, szybko śpieszący do morza, minęli go i stanęli pod zielonym dachem starych lip.

— Jesteśmy w rzucewskiej alei — rzekła Tosia.

— Ależ to jak las duży — zawołał Stef.

Patrzyli z zachwytem.

Stare, olbrzymie lipy sadzone były w cztery rzędy. Wszystkich drzew przeszło trzysta i to niemal wszystko lipy. Niektóre tak grube, iż pnie ich mają do pięciu metrów obwodu. Inne puste wewnątrz, a wszystkie pełne guzów, sęków i innych naleciałości późnego wieku.

Po przez zieloną gęstwinę listowia przeglądał błękit niedalekiego morza. Cicho było w alei i idącym przez nią ludziom w myśli stanęła postać dzielnego króla Jana, który tu nad brzegiem morza, odpoczywając po zwycięskich lecz ciężkich bitwach, zdala od gwaru, sadził lipy, szerzył pracowitą dłonią piękno na ziemi polskiej.

(d. c. n.)